

ROZMOWA Z PROFESOR IWONĄ KABZIŃSKĄ

Jaki był początek Pani przygody z etnografią? Kto lub co miał/miało na to wpływ? Czy to był przypadek?

Nie wierzę w przypadki, a jednocześnie jestem daleka od wiary w absolutny determinizm, fatalizm.

Kiedy kończyłam szkołę średnią w podwarszawskim Milanówku (w 2019 r. minął wiek od narodzin tej placówki), marzyła mi się psychologia. Niestety, nie miałam szans na spełnienie tego marzenia. Dowiedziałam się, że wśród przedmiotów, z których obowiązuje egzamin wstępny, jest matematyka. Obawiałam się, że sobie nie poradzę.

Był rok 1968. Zbliżała się matura. Moja Mama przyniosła informator dla kandydatów na studia. Przeczytałam między innymi fragmenty dotyczące etnografii. Po raz pierwszy zetknęłam się z tym pojęciem. Nie pamiętam opisu kierunku, ani co zadecydowało o tym, że postanowiłam złożyć papiery na etnografię na Uniwersytecie Warszawskim. Wskazanie na brak matematyki na egzaminie byłoby zbyt proste. Zdałam z historii, geografii i angielskiego. Zdałam, zabrakło mi jednak punktów i nie zostałam przyjęta. Kolejny rok wykorzystałam na solidną naukę. Byłam pewna, że chcę studiować, ale – dlaczego etnografię?

Dziś myślę, że wpływ na moją decyzję (nie do końca świadomą, dojrzałą) miał dom, w którym dorastałam. Od najwcześniejszych lat towarzyszyły mi książki. Pobudzały wyobraźnię, otwierały na świat, skłaniały do zadawania pytań. Bardzo lubiłam relacje z podróży. Rodziły pragnienie poznawania nowych ludzi i miejsc, dotknięcia „inności”. Myślałam o podróżach do Indii, Japonii, Mongolii... W czasach mojej młodości nie było łatwo wyjechać za granicę, nawet tę bliską.

Z „innością” oswajałam się od dziecka. Nie tylko dzięki książkom. Odkąd pamiętam, latem wyjeżdżałam z Mamą lub z Dziadkami nad morze (najpiękniejszy na świecie Bałtyk), zimą Mama zabierała mnie i siostrę w Tatry. Przysłuchiwałam się rozmowom górali podhalańskich i Kaszubów, dziwiąc się, dlaczego nie mogę ich zrozumieć. Z Mamą i siostrą wędrowaliśmy po Roztoczu, Lubelszczyźnie, świętokrzyskich gołoborzach, zwiedzałyśmy muzea – od tych najbardziej znanych, po izby regionalne i skanseny. Część Polski poznałam dzięki obozom harcerskim (Mazury, Bieszczady) i szkolnym wyjazdom (Dolny Śląsk).

Rodzina ojca mojej Mamy jest związana z Warszawą od pokoleń. Ja także urodziłam się w stolicy. Przez kilka lat mieszkałam na Grochowie (zachowałam sentyment do tej części miasta), „ciągnęło mnie” jednak na wieś, na „prowincję”. Do dziś

z nostalgią wspominam wakacyjne pobyty na wsi niedaleko Mszczonowa, gdzie gospodarował brat mojej babci. Po rozwodzie rodziców część życia spędziłam w Grodzisku Mazowieckim (około trzydzieści kilometrów na zachód od Warszawy). Czy dziecięco-młodzieńcze zauroczenie wsią i niewielkimi miejscowościami miało wpływ na wybór kierunku studiów? W tym okresie (pierwsza połowa lat 70.) etnografowie badali wioski i miasteczka, śledzili zmiany społeczne, porównywali „kulturę tradycyjną” i współczesną, rozwijały się studia regionalne, kiedy jednak składałam papiery na Uniwersytet Warszawski, niewiele na ten temat wiedziałam.

W szkole średniej dostałam od Mamy książkę Andrésa Róna-Tasa *Mongolia. Śladami nomadów*. Nie przypuszczałam, że kiedyś tam pojadę, by wraz z innymi członkami ekspedycji etnograficznej PAN prowadzić badania terenowe, obserwować życie pasterzy i mieszkańców miast, że pozostawię własny ślad w postaci publikacji, ukazujących popularne w Mongolii zachowania ludyczne, przede wszystkim różnego rodzaju współzawodnictwa, ich miejsce w mongolskiej kulturze, symbolikę, związane z nimi wierzenia. Możliwość spotkań z Mongolią zawdzięczam profesorowi Witoldowi Dynowskiemu...

Proszę opowiedzieć o roli profesora Dynowskiego w Pani zawodowych związkach z etnografią.

Dziełem Profesora była wspomniana ekspedycja. Od połowy lat 60. do roku 1980 jej członkowie prowadzili systematyczne badania terenowe w różnych rejonach tego kraju. Do ekspedycji dołączyłam pod koniec jej istnienia. Później wyjeżdżałam jeszcze w ramach wymiany między Polską Akademią Nauk i Akademią Nauk Mongolskiej Republiki Ludowej, uczestniczyłam w konferencjach i w kongresie mongolistycznym, brakowało mi jednak atmosfery zespołowych badań, a przede wszystkim obecności Profesora, jego wsparcia, życzliwości, uśmiechu, ciekawych rozmów.

Profesorowi poświęciłam część artykułu *The word master/Master sounds strange...*, opublikowanego w 2019 roku w ósmym numerze czasopisma *Nauki o Wychowaniu. Studia Interdyscyplinarne*. Wspomniany numer NOWIS jest jednym z efektów realizacji projektu „Mistrzowie – preliminaria”, którego pomysłodawcami są: doktor Marcin Kafar z Uniwersytetu Łódzkiego i doktor Adam Kola z Uniwersytetu imienia Mikołaja Kopernika w Toruniu (o założeniach tego projektu można przeczytać w artykule opublikowanym przez tych badaczy w NOWIS, nr 1(2), z 2016 roku). W swoim tekście podkreśliłam, że od słowa „mistrz” bliższe jest mi słowo „nauczyciel”. Chociaż w definicjach tych pojęć można znaleźć wiele wspólnych elementów, „nauczyciel” należy do słownika, za pomocą którego określam między innymi ważne dla mnie relacje międzyludzkie, „mistrz” – brzmi obco.

Nie wiem, czym kierował się profesor Dynowski, zapraszając mnie do udziału w pracach ekspedycji mongolskiej. Co zadecydowało, że zaproponowano mi pracę w Zakładzie Etnografii Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN (od 1992 roku nosi on nazwę Instytutu Archeologii i Etnologii PAN). Jakie znaczenie miało moje zainteresowanie Azją, o którym wspomniałam na ćwiczeniach z „etnografii społecznej”?

czeństw plemiennych” na pierwszym roku studiów? Prowadził je ówczesny magister Sławoj Szynkiewicz (w późniejszych latach byłam świadkiem jego awansów zawodowych – doktoratu, habilitacji i profesury).

Kiedy 1 lipca 1974 roku rozpoczęłam pracę w IHKM, nie myślałam o drodze naukowej, zdobywaniu stopni i tytułów. Przez dwa lata pracowałam (kolejno) na stanowiskach: stażysty, inżyniera, etnografa i na etacie naukowo-technicznym. Porządkowałam materiały archiwalne będące efektem prac ekspedycji etnograficznej PAN do Mongolii, katalogowałam zbiory biblioteczne obejmujące literaturę dotyczącą Azji, stanowiące część Zakładowego księgozbioru. Najważniejszym zadaniem było opracowanie ankiet przeprowadzonych przez członków ekspedycji na początku lat 70. Na ich podstawie można było mówić o procesie adaptacji młodzieży mongolskiej do środowiska pasterskiego i – szerzej – o zjawisku określanym przez polskich badaczy, za profesor Danutą Markowską, terminem „urbanizacja stepu”. Propozycja przejścia na etat naukowo-badawczy była dla mnie zaskoczeniem. Obawiałam się, że sobie nie poradzę. Czy jestem w stanie napisać i obronić rozprawę doktorską? Decyzję podjęłam po szczerej rozmowie z profesorem Dynowskim.

Interesuje się Pani filmem i teatrem. Czy tego rodzaju zainteresowania miały wpływ na wybór studiów etnograficznych?

Nie przypominam sobie filmu lub spektaklu, który miałby wpływ na wybór studiów, od dawna natomiast bardzo lubię te, w których obecne są „motywy etnograficzne”. Moje ulubione? *Jesień Czejenów*, *Biały ptak z czarnym znamieniem*, *Cienie zapomnianych przodków*, *Błękitny motyl*, *Biały kot, czarny kot, Aga...* Z przyjemnością oglądam filmowe adaptacje bajek oraz filmy inspirowane bajkami, dawnymi wierzeniami, „ludowością”. Interesują mnie dzieła ukazujące relacje międzyludzkie, funkcjonowanie lokalnych społeczności (światny kenijsko-niemiecki obraz zatytułowany *Supa Modo*), podziały wynikające przede wszystkim z różnic ekonomicznych i przynależności do określonej klasy/warstwy, próby dialogu międzykulturowego lub brak możliwości porozumienia się „ponad podziałami” (kwestie te znakomicie pokazano na przykład we francuskich filmach *Apostoł* i *Nędznicy*). Za niezwykle ważną uważam dokumentację zachowań będących częścią kultury różnych grup, tworzących ją, wyróżniających. Dziś są one często próbą obrony przed globalizacją, umasowieniem, popkulturową papką, lekceważeniem przeszłości i pamięci o niej, korzeni, tradycji.

Szczególną próbą utrwalenia dawnych, najczęściej lokalnych, zwyczajów, wierzeń, gwary, jest działalność teatrów amatorskich, „ludowych”. Od kilku lat, jesienią, w Teatrze Polskim w Warszawie odbywa się Festiwal Teatrów Wiejskich. Prezentowane przez nie spektakle to nie tylko „oczepiny”, „darcie pierza”, „zabawy Andrzejkowe”, „czuwanie przy zmarłych i pożegnanie z nimi”, „ożywające rzeźby lokalnego artysty”. To także adaptacje utworów literackich. W 2019 roku na przykład była to *Historia żółtej cizemki* Antoniny Domańskiej, w wykonaniu Teatru Ludowego Tradycja z Okleśnej. Dwa lata wcześniej Teatr Sioło z podkarpackiej Rakszany wystawił *Requiem dla gospodyni* Wiesława Myślińskiego. W moim odczuciu pomysłów

scenicznych nie powstydziliby się zawodowi twórcy. Zapewne, ze względu na pandemię, w tym roku nie odbędzie się siódme już spotkanie ze wspomnianego cyklu. Ogromnie żałuję. Czekałam na te spektakle, a oglądając je, miałam wrażenie, że dotykam czegoś niezwykłego, a zarazem ogromnie mi bliskiego.

Co najlepiej wspomina Pani z początku pracy w PAN?

Bardzo ważna jest dla mnie atmosfera życzliwości. Cenię sobie również poczucie przynależności do zespołu, przyjazne relacje międzyludzkie, akceptację, zrozumienie. W Zakładzie Etnografii, kierowanym przez profesor Marię Frankowską, spotkałam się z serdecznym przyjęciem. Cieszyłam się, że mogę być świadkiem powstawania dwutomowego dzieła, zatytułowanego *Etnografia Polski. Przemiany kultury ludowej*, nazywanego w skrócie „synteza”. Przysłuchiwałam się rozmowom o pracach redakcyjnych, dyskusjom nad niektórymi tekstami. Mówiąc współczesnym językiem, „synteza” była jednym z „projektów flagowych” Zakładu i Instytutu. Innym projektem tego rodzaju były prace ekspedycji etnograficznej PAN w Mongolii.

W Instytucie dzieliłam pokój ze wspomnianym już profesorem Szynkiewiczem. Otrzymałam od niego wiele wskazówek ułatwiających poruszanie się w „azjatyckiej” części zakładowego archiwum i biblioteki. Rozmowy, dotyczące między innymi wzorów zachowań, znaczenia darów i obowiązującej w Mongolii etykiety, przygotowały mnie do pierwszego wyjazdu badawczego do tego kraju.

Bardzo bliską mi osobą stała się Pani Krystyna Małkowska. Redagowała kolejne tomy *Etnografii Polskiej*, była też pierwszą czytelniczką tekstów, w których starałam się pokazać efekty badań mongolskich. Jej uwagi, zawsze celne, klarowne, przekazywane w sposób taktowny, pełen życzliwości, pomagały w pracy nad artykułami, nadawaniem im ostatecznego kształtu. Zawsze mogłam przyjść do pokoju, w którym pracowała Pani Krystyna, by porozmawiać, nie tylko o sprawach zawodowych. Podziwiałam jej wiedzę, ogromną kulturę osobistą, delikatność, umiejętność słuchania i ważenia słów. Obdarzała mnie ciepłym uśmiechem i skupionym spojrzeniem, rozświetlonym od wewnątrz. Udało nam się zachować kontakt po jej odejściu z Instytutu. Rozmawialiśmy przez telefon, wysyłałyśmy do siebie okolicznościowe kartki, dwukrotnie byłam u niej w domu. Ostatnia rozmowa telefoniczna z Panią Krystyną miała miejsce kilka tygodni przed jej śmiercią. Odeszła 16 czerwca tego roku. Pożegnałyśmy się. Zdążyłam podziękować za jej obecność w moim życiu, za rozmowy, zawsze pobudzające do refleksji i troski o precyzję wypowiedzi, za to, że obdarowała mnie swoją przyjaźnią.

Czym była dla Pani praca w Redakcji Etnografii Polskiej?

Co było najcenniejsze, a co było najtrudniejszym wyzwaniem?

Niełatwo było przejść po Pani Krystynie obowiązki redakcyjne. Powierzył mi je, w 1982 roku, profesor Dynowski. Nie miałam doświadczenia. Nieoceniona okazała się pomoc redaktor Zyty Kwiecińskiej z Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich

(przez kilkadziesiąt lat Ossolineum było wydawcą *Etnografii* i wielu innych czasopism instytutowych). Pani Zyta zmarła 12 czerwca tego roku. Zapamiętałam ją jako surową nauczycielkę, bardzo wymagającą, odpowiedzialną, ale też życzliwą, chętnie dzielącą się swoim doświadczeniem. Dzięki kontaktom z nią uczyłam się redakcyjnego warsztatu, a przede wszystkim – perfekcyjnej wręcz dbałości o język, jego poprawność, zgodność z polską normą. Niektóre uwagi pani Zyty pamiętam do dziś. Wielu autorów na przykład pisało: „oprzec o...”, tam gdzie powinno być: „oprzec na...” (błąd ten i dziś występuje powszechnie). „Oprzec to można drabinę o ścianę” – mówiła w takich przypadkach Pani Zyta, nie kryjąc irytacji.

Praca w Redakcji łączyła się z radością tworzenia, poczuciem współdziałania w powstawaniu kolejnych numerów i tomów. Zawdzięczam jej między innymi możliwość poznania wielu osób – autorów artykułów, recenzji, materiałów do *Kroniki*. Byli wśród nich nie tylko etnografowie/etnolodzy/antropolodzy, ale też socjologowie, historycy, językoznawcy, politolodzy.

Niektóre osoby w niezbyt grzeczny sposób dały mi odczuć, że jestem nowa, niedoświadczona, zbyt młoda, by wskazywać im błędy w tekstach, fragmenty wymagające wyjaśnienia, doprecyzowania, ze zdecydowaną większością autorów jednak współpraca była przyjemnością. Niektórzy podarowali mi swoje książki, opatrzone sympatyczną dedykacją. Dostawałam listy, kartki z podróży. Byłam za nie wdzięczna. Odpisywałam, dziękowałam. Niekiedy korespondencja dotyczyła spraw zarówno zawodowych, jak i prywatnych. Bardzo trudno rozdzielić te sfery. Łączą się, splatają, mają wpływ na nasze życie, kształtują je, tworzą naszą biografię, choć nie zawsze o tym mówimy.

Bardzo dobrze układała się współpraca z Panią Romą Walendzewicz z wydawnictwa Letter Quality. Poznałyśmy się na początku lat 90. Ceniłam jej rzetelność, kompetencje, podziwiałam cierpliwość. Lubiłam z nią rozmawiać, nie tylko o sprawach związanych z Redakcją, funkcjonowaniem Wydawnictwa, ale też na przykład o Suwalszczyźnie, z którą Pani Roma jest związana rodzinnymi korzeniami.

Po śmierci profesora Dynowskiego (odszedł 31 lipca 1986 roku) stanowisko redaktora *Etnografii Polskiej* objęła profesor Wanda Paprocka. W latach 1995–1997 byłam jej zastępczynią. W roku 1998 zostałam redaktorem wciąż bliskiego memu sercu czasopisma. Zrezygnowałam po dziesięciu latach, by móc poświęcić więcej czasu pracy naukowej i dydaktyce; miałam również obowiązki wobec członków bliskiej rodziny, którzy zmagali się z różnymi chorobami. Jestem szczęśliwa, że redaktorami *Etnografii Polskiej* zostali młodzi ludzie: doktor Jarosław Derlicki, a po nim – doktor Joanna Mroczkowska, nie tylko dbający o wysoki poziom każdego tomu, ale też znakomicie poruszający się w rzeczywistości niezwykle szybko zmieniającej się choćby pod względem technik komputerowych. Dla mnie wszelkie „nowinki techniczne” stanowią spore wyzwanie.

Czym są dla Pani badania terenowe?

Badania terenowe były (i pozostały) ważną częścią studiów etnograficznych. Pod koniec pierwszego roku, wraz z kilkoma innymi osobami, pojechałam na Kurpie, do Myszyńca. Odbywaliśmy praktyki pod kierunkiem profesor Zofii Sokolewicz. Jeśli

się nie myłę, zbieraliśmy informacje na temat funkcjonowania lokalnych instytucji. Później był udział w Międzyuczelnianych Obozach Etnograficznych (Ciechanowiec), praktykowanie pod bacznym okiem profesor Anny Zadrożyńskiej i profesora Mariana Pokropka, wywiady dotyczące budownictwa, pożywienia, obrzędowości rodzinnej i związanej z cyklem agrarnym. Miejscem kolejnych badań, dotyczących funkcjonowania lokalnej społeczności, był Ryn. Grupą, w której się znalazłam, opiekowała się profesor Anna Szyfer, współpracująca z Ośrodkiem Badań Naukowych imienia Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie. Spotykałyśmy się po latach na konferencjach, jubileuszach. Byłam zaskoczona nie tylko tym, że pamiętała mój udział w praktykach w Rynie, ale też, że efekty naszych praktyk miały znaczenie dla doświadczonych badaczy. Myślę tu nie tylko o profesor Szyfer, lecz także o innych osobach, pod których kierunkiem zdobywaliśmy „terenowe szlify”.

Na kolejne badania jeździłam już sama. We wsi Makówka, położonej w pobliżu Grodziska Mazowieckiego, zbierałam materiały do pracy magisterskiej. Jej tematem była „Kultura tradycyjna i aspiracje młodych chłopo-robotników”. Zagadnienia te omawiałam na przykładzie wspomnianej wsi. Takimi między innymi tematami zajmowaliśmy się w połowie lat 70. Pracę napisałam pod kierunkiem profesor Anny Kutrzeby-Pojnarowej.

Później przyszedł czas badań w Mongolii, a po nich – wyjazdów badawczych na Białoruś, Litwę, Ukrainę...

Czym były dla mnie badania terenowe? Niezależnie od tego, w jakim momencie swojego życia brałam w nich udział, najważniejsze było spotkanie z różnymi osobami i miejscami, uczenie się od innych, poszerzanie wiedzy.

Latem 1975 roku po raz pierwszy pojechałam do Mongolii. Prowadziliśmy wówczas badania w centrum kraju, w somonie Bajan (somon to jednostka administracyjna, odpowiednik naszego powiatu). Kontynuując badania ankietowe, pytałam między innymi o popularne rozrywki i potrzeby młodych pasterzy w tym zakresie, zastanawiałam się też nad kategorią czasu wolnego w mongolskich realiach. Obserwowałam walki zapaśników, graczy w kości (astragale), szachy, domino, uczestników wyścigów konnych. Postanowiłam przyjrzeć się baczniej tego rodzaju zachowaniom. Znalazłam „swój” temat. Bez badań terenowych nie byłabym w stanie ukazać symboliki mongolskich współzawodnictw, ich związków z wierzeniami, obrzędami, nie wyjaśniłabym przyczyn podziału gier na wiosenne i letnio-jesienne. Nie pokazałabym, że zachowania ludyczne są nie tylko częścią mongolskiej kultury, ale też sposobem komunikowania o niej. Dzięki temu, że badania były prowadzone w wielu rejonach, wśród przedstawicieli różnych grup mongolskojęzycznych, zarówno dominujących liczebnie Chałchasów, jak i – reprezentujących mniejszości – Eletów, Mjangatów, Derbetów, Zachczynów, mogłam pokazać różnice między poszczególnymi grupami w sferze tych zachowań. Literatura ograniczała się najczęściej do opisu reguł, zasad organizacji zawodów oraz omówienia źródeł historycznych, zawierających informacje o rozmaitych grach, przede wszystkim o, cieszących się od wieków popularnością wśród Mongołów, wyścigach, zawodach łuczniczych i zapasach.

Należy podkreślić, że w latach 70. badania terenowe, realizowane przez polskich badaczy, obejmujące wiele grup etnicznych/etnograficznych mieszkających na terenie Mongolii, ukazujące relacje między nimi oraz podobieństwa i różnice kulturowe, były nowością w światowej mongolistyce. Przedstawały również obraz kraju bogatszy od oficjalnego.

Czego uczono przed badaniami terenowymi?

Co mówiono o tego rodzaju badaniach?

W trakcie studiów etnograficznych/etnologicznych/antropologicznych studenci zdobywają wiedzę o metodach i technikach prowadzenia badań terenowych, rodzajach wywiadów, obserwacji, sposobach rejestracji materiałów, w tym – źródeł „wywołanych” przez badacza. O tym, jak poruszać się w terenie, dowiadują się jednak przede wszystkim podczas praktyk. Mówię tu o terenie rozumianym jako miejsce, mające swoje „współrzędne geograficzne”, wpisane w określone podziały administracyjne, do którego trzeba najczęściej dotrzeć fizycznie, odbyć podróż w tak zwanym realu.

W czasach, w których studiowałam, nie było grup laboratoryjnych. Braлиśmy udział w „praktykach terenowych”, uczestniczyliśmy w Międzyuczelnianych Obozach Etnograficznych. Nie mieliśmy wielkiego wyboru podręczników, z których mogliśmy korzystać, przygotowując się do prowadzenia badań. Uczyliśmy się, słuchając relacji wykładowców, którzy dzielili się z nami swoją wiedzą, doświadczeniami, praktykując pod ich okiem, obserwując ich zachowania.

Podczas praktyk studenckich bezcenna jest obecność opiekuna, bezpośredni kontakt z nim, omawianie efektów codziennej pracy. Stwarza to możliwość szybkiego dostrzeżenia popełnionych błędów, skorygowania ich, odkrycia tego, co umknęło w trakcie wywiadu/rozmowy. Podobne znaczenie mają wszelkie badania zespołowe. Inspirują, otwierają drzwi, obok których przeszliśmy, nie rozglądając się zbyt uważnie wokół siebie, pozwalają dzielić się doświadczeniami, refleksją nad procesem badawczym. Prowadziliście Państwo studenckie grupy laboratoryjne, byliście ich opiekunami, wcześniej, jako studenci – sami braliście udział w pracach takich grup, zdobyliście więc różne doświadczenia, związane z pełnieniem określonych funkcji. Moje doświadczenia z praktyk studenckich są jednostronne. Nie wiem, jak byłam postrzegana przez osoby sprawujące pieczę nad studentami, śledzące poczynania każdego z nas, oceniające efekty naszych prac. Tamte wyjazdy mocno już zatarły się w pamięci. Pozostały jedynie pojedyncze obrazy, wrażenia, twarze kolegów, niektórych rozmówców/informatorów.

Żałuję, że nie zachowałam notatek z wykładów i ćwiczeń. Nie zachował się też zapis wywiadu, jaki przeprowadziłam na pierwszym roku studiów, w ramach ćwiczeń z metodyki badań terenowych prowadzonych przez profesor Danutę Markowską. Dotyczył on historii jednej z grodziskich piekarni i dziejów prowadzącej ją od lat rodziny. Podczas licznych przeprowadzek zagubił się zapis pierwszej obserwacji, dokonanej także w ramach wspomnianych ćwiczeń. Jej miejscem była sala sądowa. Nie przypuszczałam, że kiedyś, po wielu latach, będę chciała sięgnąć do tych zapisków.

Nie pielęgnuję własnej przeszłości, interesuje mnie natomiast przeszłość innych osób, ich biografie, a także historie miejsc, zmieniająca się rzeczywistość, sposoby doświadczania zmian, ich wpływ na jednostki i różnego rodzaju grupy, na relacje społeczne.

Czy wykłady i ćwiczenia mogą przygotować studentów do badań terenowych? Myślę, że jedynie w pewnym zakresie. Wielu sytuacji nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Nie wiemy, kogo spotkamy, jakim okaże się rozmówcą / narratorem / uczestnikiem dialogu antropologicznego (kiedy studiowałam i później, gdy uczestniczyłam w pracach ekspedycji etnograficznej PAN do Mongolii, mówiło się o informatorach). Nie wiemy, jak zostaniemy przyjęci, jak będzie przebiegał nasz pobyt w terenie, co może nas zaskoczyć i jak zachowamy się w takiej sytuacji, w kontakcie z nieoczekiwanym.

Od czasu moich studiów wiele się zmieniło, począwszy od możliwości rejestracji źródeł, relacji badacz – badany, aż po sposób rozumienia terenu. Dziś często postrzegamy go metaforycznie, na przykład jako problem badawczy. Terenem stał się internet. O różnych sposobach pojmowania terenu piszą między innymi autorzy artykułów zamieszczonych w pracy zbiorowej *Teren w antropologii. Praktyka badawcza we współczesnej antropologii kulturowej*, pod redakcją Mariusza Kairskiego i Tarzycjusza Bulińskiego, opublikowanej w 2011 roku przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dzięki internetowi mamy dostęp do katalogów i zbiorów bibliotecznych w wielu krajach świata. Nie musimy przepisywać ręcznie interesujących nas fragmentów publikacji. Korzystamy bez ograniczeń z kserokopiarek, robimy zdjęcia poszczególnych stron, archiwizujemy dane na dysku komputera. Mamy też wiele możliwości rejestrowania naszych badań. Kiedy jeździłam do Mongolii i wcześniej – w okresie studenckim – wywiady zapisywaliśmy ręcznie. Tylko nieliczni dysponowali aparatami fotograficznymi dobrej jakości. Dziś posługujemy się tabletami, aparatami cyfrowymi, kamerami filmowymi, doskonałymi dyktafonami. Pamiętam dyktafony służące do zapisywania rozmów na kasecie magnetofonowej. Na początku lat 90., wyposażona w taki dyktafon, jeździłam po wioskach i miasteczkach zachodniej i centralnej Białorusi. Trzeba było kontrolować czas nagrywania i uważać, by w trakcie rozmowy nie rozległ się głośny trzask, oznajmiający, że należy założyć nową kasetę lub przełożyć tę, której aktualnie używamy, na drugą stronę. Taki nieoczekiwany „wystrzał” przerywał rozmowę, wprowadzał zamieszanie, konsternację.

Niedawno, po wielu latach, po raz kolejny przeczytałam książkę Przemysława Burcharda *Za ostatnim przystankiem*, wydaną w 1985 roku przez stołeczne wydawnictwo Czytelnik. W notatkach autora, w jego wspomnieniach i na czarno-białych fotografiach pozostały miejscowości, do których dotarł podczas badań terenowych prowadzonych w latach 50. przez etnografów związanych z Uniwersytetem Jagiellońskim w Krakowie, pod kierunkiem profesora Romana Reinfussa. Pozostali ludzie, którzy uczestniczyli w tych badaniach. Burchard wspaniale oddaje klimat i realia odległych już w czasie wyjazdów badawczych. Prowadzi czytelnika do objętych nimi miejsc, znakomicie portretuje osoby, które stały się uczestnikami badań terenowych – zarówno mieszkańców poszczególnych miejscowości, jak i reprezentantów krakowskiej uczelni.

Świat opisany w książce *Za ostatnim przystankiem* przeminął. Czy przeminęła także „tamta” etnografia? Może nie do końca? Wielu z nas prowadzi badania terenowe. W innych warunkach, wyposażeni w nowoczesne urządzenia, wciąż rozmawiamy, zadajemy pytania i poszukujemy na nie odpowiedzi, pragniemy możliwie najlepiej poznać życie lokalnych społeczności, codzienność i niecodzienność ich członków. Staramy się zachować choćby część przemijającego świata i opisać współczesność, która błyskawicznie staje się przeszłością. Wędrujemy w poszukiwaniu „starcoci”, opisujemy je, fotografujemy, pytamy o ich historię (biografię). Czemu i komu służyły? Kto był ich twórcą? Rozrosło się pole badawcze etnografii/etnologii/antropologii kulturowej, normą są badania interdyscyplinarne, w jakimś stopniu jednak wciąż sięgamy do korzeni.

Przyglądam się czarno-białym fotografiom profesora Reinfussa. Pamiętam, z jakim wzruszeniem oglądałam zdjęcia eksponowane na wystawie „Etnografowie w terenie”, towarzyszącej obchodom jubileuszu stulecia urodzin profesora Józefa Burszty. Wernisaż wystawy odbył się w Poznaniu, 3 listopada 2014 roku. Niedawno w szufladzie biurka znalazłam czarno-białe zdjęcie profesor Kutrzeby-Pojnarowej. Uśmiechnięta, wędruje ścieżką wśród pól, być może niedaleko ukochanego przez nią Trześniowa... Ile fotografii dokumentujących między innymi prace tych, których nie ma już pośród nas, znajduje się w archiwach różnych ośrodków etnograficznych (etnologicznych/antropologicznych)? Każda z tych osób tworzyła historię dyscypliny, dodawała cegiełkę do wspólnej budowli. W większym lub mniejszym stopniu tworzyli ją także ci, którzy nie zostali uwiecznieni na fotografiach. Warto i o nich pamiętać.

Wielką wartość mają dla mnie publikacje, których autorzy, posługując się współczesnymi metodami i technikami badawczymi, odwołując się do wybranych teorii, pieczołowicie dokumentują przeszłość, istniejącą już często jedynie w ludzkiej pamięci lub/i w zapiskach przechowywanych w archiwach prywatnych – lokalne obrzędy, wierzenia, stroje, „domową ekonomię”, sposoby widzenia świata, jego rozumienia, przeżywania, losy rozmaitych społeczności, zmieniającą się rzeczywistość. Spośród tych, które ukazały się stosunkowo niedawno, wymieniałabym prace Stanisławy Trebuni-Staszek, Bożeny Józefów-Czerwińskiej, Katarzyny Orszulak-Dudkowskiej, a także książki i artykuły sygnowane przez cieszyńską Pracownię Atlasu Etnograficznego.

Wzruszają mnie wystawy w muzeach etnograficznych dokumentujące przeszłość żyjącą już jedynie w muzealnych salach i gablotach, we wspomnieniach coraz mniej licznych świadków i na różnorodnych „nośnikach pamięci”. Zdjęcia, mapy, rysunki, dokumenty osobiste, przedmioty, nierzadko cudem ocalone z dziejowego chaosu, łączą miejsca, czasy i pokolenia, różne sposoby życia i widzenia rzeczywistości.

Jakie były najważniejsze cezury w Pani pracy zawodowej?

„Na początku była...” Mongolia – udział w pracach ekspedycji, publikacje, doktorat na temat zachowań ludycznych pasterzy mongolskich. Obrona odbyła się jesienią 1987 roku. Promotorem był profesor Dynowski. Po jego śmierci obowiązki promotora przejął profesor Szynkiewicz. Później były badania nad współzawodnictwami

w kulturach azjatyckich, oparte na analizie publikacji, kwerendach w bibliotekach (polskich, mongolskich, radzieckich). Odwoływałam się także do wyników badań terenowych, jakie przeprowadziłam w Mongolii. Okazały się one bezcenne przede wszystkim dla studiów porównawczych.

W listopadzie 1992 roku po raz pierwszy wyjechałam na Białoruś, rozpoczynając badania mające na celu określenie wyznaczników tożsamości etnicznej/narodowej osób identyfikującej się jako Polacy. Chciałam również ukazać wpływ wydarzeń i procesów historycznych – obydwu wojen światowych, odzyskania niepodległości przez Polskę w listopadzie 1918 roku, powojennych zmian ustrojowych, transformacji systemowej po rozpadzie Związku Radzieckiego i powstaniu Republiki Białoruś – na identyfikację członków badanej grupy. Interesowały mnie stereotypy etniczne, relacje „swoi” – „inni” – „obcy”, fenomen „małych ojczyzn” i pogranicza kulturowego (w tym – człowieka pogranicza), społeczne koszty transformacji, historia mówiona i odzyskiwanie utraconej pamięci, narracje biograficzne, dialog międzykulturowy. Realizacja badań (w latach 1992–1997) była możliwa przede wszystkim dzięki współpracy Polskiej Akademii Nauk z Akademią Nauk Republiki Białoruś.

W 2004 roku rozpoczęłam realizację indywidualnego zadania badawczego finansowanego przez Komitet Badań Naukowych. Było ono częścią bloku tematów „Pogranicza kulturowe i etniczne w procesie integracji europejskiej” wchodzącego w skład projektu badawczego zatytułowanego „Polskie dziedzictwo kulturowe w nowej Europie”. Podstawą moich prac były badania terenowe zrealizowane w wybranych miejscowościach Litwy, Białorusi i Ukrainy w latach 2004–2006. Dotyczyły one przemian systemowych zapoczątkowanych w końcu XX wieku i kontynuowanych w obecnym stuleciu, ich efektów, kosztów społecznych, doświadczeń związanych z transformacją, funkcjonowania mieszkańców pogranicza w warunkach zmian systemowych, sytuacji ludności polskiej, jej relacji z grupą dominującą, działań mających na celu zachowanie i transmisję polskiego dziedzictwa kulturowego.

Badania za wschodnią granicą Polski były „technicznie” łatwiejsze w porównaniu z tymi, których terenem była Mongolia. Przede wszystkim nie wymagały pośrednictwa tłumacza. Rozmawiałam po polsku lub po rosyjsku, osłuchiwałam się z białoruskim i ukraińskim, nie miałam też problemu ze zrozumieniem tzw. mowy prostej – gwary, którą mówią mieszkańcy białoruskich wiosek. Nowy teren wymagał natomiast ode mnie radykalnej zmiany myślenia, oderwania od zagadnień, jakimi zajmowałam się wcześniej, i przedstawienia na zupełnie inną problematykę, wejścia w nieznanne mi obszary rzeczywistości.

Kiedy rozpoczynałam badania za naszą wschodnią granicą, istniało stosunkowo niewiele publikacji informujących o sytuacji ludności mającej polskie korzenie, mieszkającej na terenach dawnego ZSRR, wyznacznikach jej tożsamości, stosunkach etnicznych, doświadczeniach wojennych i powojennych. Zdobywałam wiedzę „u źródła”, rozmawiając z osobami reprezentującymi interesującą mnie przede wszystkim grupę. Rozmowy z Rosjanami, Białorusinami, Ukraińcami i Litwinami umożliwiły mi spojrzenie na badane zagadnienia z innej perspektywy, znakomicie poszerzyły pole widzenia.

W 2000 roku otrzymałam stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie etnologii; w 2012 – tytuł profesora nauk humanistycznych. Jak wspomniałam, rozpoczynając swoją drogę zawodową, nie myślałam o stopniach i tytułach, a jednak – stało się... Może tak po prostu miało być?

Niezwykłe były dla mnie lata 2000–2011. W tym okresie prowadziłam zajęcia w Katedrze Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu imienia Mikołaja Kopernika w Toruniu: wykłady i ćwiczenia z etnologii Europy, konwersatorium poświęcone wybranym problemom antropologii kulturowej naszego kontynentu, wykład monograficzny, którego tematem była historia i kultura ludności polskiej na terenach dawnego Związku Radzieckiego. Prowadziłam także seminarium magisterskie i opiekowałam się osobami piszącymi licencjaty. Dwie osoby związane z toruńską etnologią napisały rozprawy doktorskie pod moim kierunkiem.

Usłyszałam kiedyś od znajomej, że każdy pracownik Polskiej Akademii Nauk powinien zajmować się dydaktyką, dzielić się swoją wiedzą. Dodałabym, że praca na uczelni pozwoliła mi nie tylko na przekazywanie wiedzy studentom, zachęcanie ich do rozwijania zainteresowań, poszukiwania własnej drogi, wspieranie studenckich inicjatyw, związanych na przykład z badaniami terenowymi, wyjazdami stypendialnymi, organizacją wystaw fotograficznych, udziałem w różnego rodzaju „szkołach letnich”. Bardzo dużo nauczyłam się od tych, którzy – uczestnicząc w dyskusjach podczas zajęć, mówiąc o swoich zainteresowaniach, lekturach, opowiadając o podróżach, pracy w różnego rodzaju fundacjach, o planach, a nierzadko też o osobistych problemach – wprowadzali mnie w obszary wiedzy, do których sama zapewne bym nie dotarła. Wiele spotkań pamiętam do dziś. Pamiętam niektóre tematy studenckich referatów, prac magisterskich i licencjatów. Z kilkoma osobami wciąż utrzymuję kontakty.

Coraz bardziej odczuwałam zmęczenie, psychiczne obciążenie zagadnieniami naukowymi, którymi się zajmowałam – problemami etnicznymi wiążącymi się najczęściej z różnego rodzaju konfliktami i ludzkimi dramatami. Ciężyła mi obecność w nurcie antropologii polityki, nie potrafiłam jednak odejść. W 2011 roku zdecydowałam się na kontynuowanie badań nad dialogiem (międzykulturowym, międzyreligijnym, politycznym). Skupiłam się na dialogu między Słowianami wschodnimi i zachodnimi (reprezentowanymi przez Polaków). Interesowały mnie także współczesne odśłony mitu słowiańskiej jedności, wspólnoty. „Wielka” historia (konflikty rosyjsko-ukraińskie, zmiana w relacjach polsko-rosyjskich) skorygowała moje plany. Jednocześnie trudna sytuacja rodzinna i własne problemy ze zdrowiem sprawiły, że musiałam zrezygnować z badań terenowych wymagających długotrwałego pobytu z dala od domu.

Brakowało mi wyjazdów, rozmów, spotkań twarzą w twarz. Terenem, a raczej – w moim odczuciu – jego namiastką, stał się internet. Śledziłam zamieszczone w nim informacje i komentarze internautów, dotyczące wydarzeń, które – z jednej strony – były wołaniem o dialog, świadczyły o jego potrzebie, z drugiej – wydawały się zaprzeczeniem dialogu, wskazywały na słabość jego idei, trudności z jej realizacją w praktyce.

Co jakiś czas powraca do mnie pytanie, dlaczego w tamtym okresie nie zdecydowałam się na wprowadzenie do planów Instytutu badań nad ciszą i hałasem jako kategoriami społeczno-kulturowymi, postawami wobec nich, wpływem na relacje

międzyludzkie i stosunek do określonych miejsc, zmianami pejzażu dźwiękowego? Takie badania (pozaplanowe) prowadziłam od początku naszego wieku. Inspiracją była książka Siergieja Rumjancewa zatytułowana *Kniga tišiny. Zvukovoj obraz goroda* (Księga ciszy. Dźwiękowy obraz miasta), wydana w 2003 roku w Sankt Petersburgu przez Gosudarstvennoj Institut Iskusstwoznanija. Zainspirował mnie również artykuł Piotra Kowalskiego *Modlitwa i milczenie. Wprowadzenie do antropologii ciszy*, opublikowany w 2004 roku w numerze 4–5 *Literatury Ludowej*.

Książka Rumjancewa jest przejmującym studium samotności człowieka, który z powodu nadwrażliwości na dźwięki czuje się obco w świecie coraz bardziej zdominowanym przez hałas. Jest też znakomitym, wszechstronnym opisem pejzażu dźwiękowego Moskwy i zmian zachodzących w nim pod wpływem procesów urbanizacyjnych, ekonomicznych, demograficznych, migracyjnych, transformacji systemowej. Efektem tych procesów jest między innymi zanikanie ciszy. Podobnie jak hałas, stanowi ona dla Rumjancewa nie tylko zjawisko akustyczne, ale przede wszystkim kategorię kulturową.

Piotr Kowalski z kolei pisze o ciszy i hałasie jako znakach „tamtego świata”, symbolach sytuacji granicznych, znaczących elementach obrzędów i różnego rodzaju praktyk (magicznych, wróżebnych). W przeciwieństwie do tego autora w swoich pracach skoncentrowałam się na ciszy i hałasie w życiu codziennym, ich doświadczaniu, wpływie na relacje międzyludzkie, udziale w tworzeniu pejzaży dźwiękowych.

Kim byli Pani najważniejsi rozmówcy? Czy ich Pani wspomina? Czy opowiada o nich? O którym z nich myśli Pani najczęściej?

Pamiętam twarze i sylwetki wielu osób, z którymi rozmawiałam podczas badań terenowych w Mongolii, na Litwie, Białorusi, Ukrainie, sytuacje, w których się spotkaliśmy, atmosferę spotkań. Która z tych osób była najważniejsza? Która miała największy wkład w badania? Każda w jakiejś mierze miała w nich swój udział. Ta, która odpowiadała na pytania dotyczące zachowań ludycznych i była ich uczestnikiem, i ta, która zaprosiła mnie do swego życia, opowiadając o ważnych dla niej wydarzeniach, o bliskich jej ludziach, o zmianach, których doświadczyła.

Często myślę o pani Reginie. Poznałam ją w Wilnie w 2004 roku. Miała wówczas osiemdziesiąt osiem lat. Przeżyła wiele dramatycznych sytuacji, w jej wspomnieniach nie było jednak goryczy, narzekania, gniewu, osądzania sprawców cierpienia. Kiedy przyznałam, że przeraża mnie zło, coraz bardziej widoczne, odczuwalne we współczesnym świecie, pani Regina popatrzyła na mnie ciepło, uśmiechnęła się i powiedziała: „Jest dużo dobrych ludzi. Są jak perły, które zsunęły się z rozerwanego przez kogoś sznura i potoczyły w różne strony. Trzeba szukać tych pereł i nawlekać na nową, mocną nicią”. Zapamiętałam te słowa. Stały się dla mnie wskazówką, przesłaniem, bezcennym darem. Przekazuję je innym, zwłaszcza tym, którzy stracili zaufanie do ludzi, nadzieję, że są jeszcze wśród nich dobrzy, uczciwi, prawi, niemyślący wyłącznie o sobie.

W moich wspomnieniach pojawia się pani Leonarda ze wsi Naliboki (Białoruś). Mieszkałam u niej, kiedy prowadziłam badania terenowe. Nikt, może poza moją Babcią, tak się o mnie nie troszczył. Świeże bliny na śniadanie, gorąca zupa w żeliwnym

garnku, czekająca w piecu na mój wieczorny powrót. Nocne rozmowy, wspomnienia... Pani Leonarda wspaniale opowiadała, dość dobrze posługując się polszczyzną, której nauczyła się w międzywojennej szkole. Ze szczegółami opisywała zapamiętane przez nią wydarzenia z czasów II wojny światowej, wcześniejsze – z okresu międzywojnia, i późniejsze, powojenne. Komentowała współczesność. Była mądrym, życzliwym, gościnnym i serdecznym człowiekiem. Przez wiele lat pisałyśmy do siebie listy, wysyłałyśmy kartki świąteczne. W pewnym momencie kontakt się urwał. Myślę, że pani Leonardy nie ma już wśród żywych.

*Co było największą przygodą w trakcie badań terenowych?
Jakie doświadczenie było najważniejsze?*

Bardzo trudno odpowiedzieć na te pytania. Przygodą był każdy wyjazd, umożliwiający poznanie nowych ludzi i miejscowości, ale też powrót do znanych już osób i miejsc. Z badaniami łączyły się: spotkania, rozmowy, podróże różnymi środkami lokomocji – rozklekotanymi autobusami, samolotami lokalnych linii, mającymi często za sobą lata świetności, nowoczesnymi pociągami, „elektryczkami” (podmiejskimi kolejkami), „marszrutkami” („busikami”), samochodami terenowymi, mieszkanie w hotelach lub w gościnnych domach mieszkańców miast, wiosek i miasteczek, noclegi w jurtach, smakowanie specjałów miejscowej kuchni, górskie wspinaczki, próby jazdy konnej, udział w obchodach świąt związanych z cyklem kalendarzowym, w rodzinnych wydarzeniach i w uroczystościach religijnych, zachwyty pięknem przyrody – bezkresem litewskich lasów, barwami białoruskich pól, gór i stepów Mongolii, pustyni Gobi, widokiem Bajkału i syberyjskich wiosek, nieba pełnego gwiazd nad ukraińską wioską, do której nie dotarł jeszcze „elektrosmog”. Lubiłam słuchać legend, piosenek, wierszy, bajek. Miłość do klasycznych bajek towarzyszy mi od dziecka. Sięgam do nich zwłaszcza wtedy, kiedy jest mi smutno, ciężko. Wiem, że zawsze zwycięży w nich dobro.

Uwielbiałam obserwować niebo nad mongolskim stepem. Wydawało się, że wystarczy wspiąć się na palce, by dotknąć gwiazd. Pamiętam niewyobrażalnie ogromny księżyc wiszący nisko nad ziemią, świecący lipcowym blaskiem. Widok Drogi Mlecznej zapraszającej do wędrówki. Trudno powiedzieć, co było najważniejsze, najcenniejsze...

Przygodą, z pewnością nie najważniejszą, była nieplanowana kąpiel w rzece przecinającej drogę do pasterskiego ailu. Ześlizgnęłam się z omszałej kłody, która pełniła funkcję kładki (nie wiem, skąd się tam wzięła i komu miała służyć, Mongolowie z pewnością przekraczali rzekę konno). W mokrym ubraniu, ociekająca wodą, weszłam do jurty. Podobnie wyglądał towarzyszący mi tłumacz. Suszyliśmy się przy ogniu, rozmawiając i śmiejąc się z tego, co nam się przydarzyło.

Z jakim wydarzeniem łączy się największy strach?

Doskonale pamiętam moment, w którym pojawił się strach. Było to w zachodniej Mongolii, w ajmaku (województwie) kobdoskim. Przed wieczorem poszłam na spacer. Dotarłam do modrzewiowego lasu. Drzewa, przybrane w jesienne barwy,

trwały w bezruchu, w niesamowitej ciszy. Zaczęłam wchodzić w głąb lasu. Nagle zatrzymałam się. Miałam wrażenie, że miejsce, w którym jestem, staje się groźne, nieprzychylnie, że powinnam odejść stąd jak najszybciej. Nie potrafię opisać tego, co czułam, czego dotknęłam, co dotknęło mnie. Uciekłam. Do dziś nie wiem, „co” kazało mi się zatrzymać, zawrócić. Czy nieopatrznie naruszyłam granice jakiegoś, nieznanego mi, miejsca kultu? Czy byłam niepożądanym gościem, który wtargnął w cudzą przestrzeń? Urzekła mnie przyroda. Potraktowałam las jako miejsce spaceru, wypoczynku. Wspominając tamto wydarzenie po latach, pomyślałam, że – być może – powinnam była poprosić ducha-gospodarza miejsca o zgodę na wejście na podległe mu terytorium. Może nie dostałabym tej zgody, ale przynajmniej nie zachowałabym się jak intruz, ktoś, kto ignoruje miejscowe zwyczaje, wierzenia, nie zna lokalnej topografii, narusza tabu. Minęło wiele lat, wciąż jednak, gdy widzę modrzewie, wraca do mnie tamten lęk. Już nie tak silny, niemal obezwładniający, wciąż jednak zapisany w pamięci. Pozostaje też tajemnica.

Nie wiem, dlaczego nie opowiedziałam żadnemu z członków ekspedycji o tym, czego doświadczyłam w modrzewiowym lesie. Może nie był to czas rozmów o takich doświadczeniach? Może musiałam zadowolić się świadomością dotknięcia czegoś niezwykłego, potężnego, budzącego groźbę? Czas systematycznych badań terenowych nad relacjami z podmiotami nieludzkimi (duchami-gospodarzami miejsc), buddyzmem, szamanizmem, lokalną ontologią, szeroko rozumianym krajobrazem i wieloma innymi zagadnieniami dotyczącymi między innymi sfery duchowej, przyszedł później. Ich efektem jest na przykład Twoja książka, Łukaszu, zatytułowana *Między władzą spojrzenia a praktyką. Antropologia krajobrazu*, wydana w 2018 roku przez stołeczną Oficynę Naukową.

Poza wspomnianym wydarzeniem podczas wyjazdów badawczych nie miałam powodów, by bać się czegośkolwiek lub kogokolwiek. Może inaczej patrzyłam wówczas na świat? Może był on inny, bardziej bezpieczny? Może za mało o nim wiedziałam? Dziś nie byłabym tak odważna, by wędrować samotnie w ciemnościach skrajem szosy biegnącej przez las. Trudno mi wchodzić do domów, w których mieszkają nieznanymi osoby, inicjować rozmowy. Nie jestem też tak ufna w stosunku do ludzi.

Odchodząc od doświadczeń mongolskich i generalizując, można powiedzieć, że lęk towarzyszy człowiekowi „od zawsze” (pisali o tym na przykład Jean Delumeau i Michela Marzano; by zrozumieć jego istotę, warto też sięgnąć do książek Antoniego Kępińskiego), współcześnie jednak, przede wszystkim za sprawą mediów, stał się doświadczeniem powszechnym, obezwładniającym, odbierającym nadzieję. Często przez jego pryzmat patrzymy na własne życie, ludzi i przyszłość świata.

Jak ważne są według Pani emocje w doświadczeniu etnograficznym?

Spotkaniom z drugim człowiekiem nierzadko towarzyszą emocje. W trakcie badań terenowych doświadczyłam życzliwości, sympatii, gościnności. Jedynie nieliczne osoby odmówiły udziału w rozmowach, czyniąc to w sposób grzeczny i zareszem stanowczy.

Ze względu na problematykę, którą się zajmowałam, wyjazdy studenckie, podobnie jak badania w Mongolii, nie były tak obciążające jak te, które prowadziłam za naszą wschodnią granicą. Rozmowy dotyczyły między innymi trudnych doświadczeń z okresu międzywojnia, lat II wojny światowej, budowania powojennego porządku i czasów transformacji systemowej, zwanych pieriestrojką. Opowieściom nierzadko towarzyszył płacz, rozdzierające westchnienia, na twarzy rozmówców pojawiał się smutek. Niektórzy załamywali ręce, kładli dłoń na sercu, jakby chcieli je uciszyć, uspokoić, ocierali łzy rękawem lub skrajem fartucha. Czułam się winna, nierzadko bowiem swoimi pytaniami wywoływałam bolesne wspomnienia, zmuszałam do ponownego przeżywania traumatycznych doświadczeń. Kiedy jednak kolejne osoby dziękowały mi za możliwość podzielenia się swoimi przeżyciami, rozumiałam, że dzięki rozmowom i podjęciu trudnych tematów, często po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat, w jakimś stopniu, choćby na krótko, zostały uwolnione od ciężaru przeszłości.

Jak doskonale wiemy, życie ma wiele barw. Obok „smutnych” czerni, zgaszonych brązów i rozmaitych odcieni szarości występują kolory wywołujące uśmiech, radość. Były one również obecne we wspomnieniach wielu rozmówców, dotyczących na przykład obchodów świąt rodzinnych i kalendarzowych, budowy domu, kościoła lub kaplicy, lekcji prowadzonych przez sympatycznych nauczycieli, szczęśliwego życia rodzinnego, udziału w życiu religijnym. Tym wspomnieniom towarzyszył uśmiech, czasem pojawiały się łzy wzruszenia. Łatwiej było mi słuchać o tym, co dobre, uskrzydlające, niż o tym, co łączyło się z traumą, zniszczeniem, nieodwracalną stratą. Do dziś pamiętam wiele opowieści. Zastanawiam się, skąd czerpano siłę, by przetrwać, nie załamać się, nie stracić nadziei.

Jestem osobą emocjonalną, nadwrażliwą, obdarzoną empatią, łatwo „przejmującą”, dzielącą emocje innych. Choć nie zawsze jest to dla mnie korzystne („w emocjach” łatwo popełnić różnego rodzaju błędy), w przypadku badań terenowych wspomniane cechy okazały się niezwykle pomocne. W naturalny sposób pomagały w nawiązywaniu bliskich kontaktów, budowaniu klimatu szczerości, otwartości, zaufania, sprzyjającego rozmowom, wspomnieniom. Umożliwiały zrozumienie rozmówców i ich doświadczeń. Pomocna okazała się też wyobraźnia – myślenie obrazami, których źródłem były opowieści rozmówców. Nie pamiętam już wielu słów, zapamiętałam natomiast wywołane przez nie obrazy, wyobrażenia określonych sytuacji.

Nad czym Pani obecnie pracuje? Jakie są Pani aktualne zainteresowania?

Napisałam tekst, liczący 75 stron, który zatytułowałam „O miejskiej przestrzeni, jej uzmysłowieniu, autoetnografii i spacerach w czasie pandemii”. Zakończyłam nim planowe, czteroletnie badania nad ciszą i hałasem w przestrzeni miasta. Problematykę tę omawiam na przykładzie warszawskiej Sadyby i jej okolic. Poszczególne człony tytułu informują o zawartości tekstu, a zarazem o moich zainteresowaniach krajobrazem dźwiękowym i zachodzącymi w nim zmianami, sposobami poznawania świata, postawami wobec audiosfery i – szerzej – środowiska, w którym żyjemy, postrzeganego między innymi poprzez związane z nim dźwięki. Pandemia koronawirusa częściowo

zmieniła moje plany, ale też podsunęła pewne pomysły. Obszerne fragmenty tekstu poświęciłam spacerom dźwiękowym w czasach pandemii, ciszy towarzyszącej jej początkowemu okresowi (po ogłoszeniu stanu epidemii) i stopniowemu powracaniu do hałaśliwego świata po zniesieniu kolejnych nakazów i zakazów określających zasady poruszania się w przestrzeni publicznej.

Pewnej bezsennej nocy, pod koniec marca tego roku, sięgnęłam po pierwszą z brzegu książkę. Była to *Dżuma* Alberta Camusa! Nie szukałam tej książki! W ogóle nie pamiętałam, że ją mam! To ona znalazła mnie! Z takim, z pewnością nieprzypadkowym, działaniem miałam do czynienia nie po raz pierwszy. Po kilku dniach dowiedziałam się, że *Dżuma* stała się ogromnie popularna w różnych krajach (między innymi w Polsce, we Włoszech, w Austrii). Wiele osób doszukało się w niej analogii z obecną pandemią. Byłam ciekawa, jak odczytam tę książkę po kilkudziesięciu latach. Postanowiłam też poszukać w niej informacji dotyczących świata dźwięków, ciszy i hałasu. Zakładałam, że poszukiwania okażą się bezowocne. Myliłam się! W tekście zaznaczyłam ponad pięćdziesiąt miejsc, w których jest mowa o dźwiękach charakterystycznych dla miasta (Oran w latach 40.) przed epidemią, w czasie dżumy i po oficjalnym podaniu informacji o ustąpieniu zagrożenia (niektórzy mieli świadomość, że zaraza w każdej chwili może powrócić).

Skąd autoetnografia w tytule tekstu kończącego moje badania nad ciszą i hałasem w przestrzeni miasta? Zainteresowałam się tym nurtem dzięki publikacjom doktora Marcina Kafara i współpracy z tym badaczem. Wiem, że autoetnografia ma wielu przeciwników, krytyków. Nie tylko w Polsce. Słyszałam, że jest „narcystyczna”, „denerwująca”, „irytująca”, „dość uciążliwa”, że nie jest „prawdziwą nauką”. Myślę, że – jak w każdym nurcie – można tu znaleźć zarówno prace wybitne, jak i słabe, niemające nic wspólnego z założeniami autoetnografii sformułowanymi przede wszystkim przez amerykańskich badaczy: Carolyn Ellis i Arthura Bochnera (od lat współpracuje z nimi Marcin Kafar).

Nie chciałabym dyskutować o autoetnografii. Chcę jedynie powiedzieć, że interesuje mnie z uwagi na tematykę podejmowaną przez jej reprezentantów oraz sposób przekazywania informacji (opowieści o doświadczeniach badacza i innych osób wpisane w szeroki kontekst kulturowy). Umożliwia zrozumienie wielu zachowań, zachęca do refleksji nad nimi, nad fenomenem doświadczenia, procesem poznania, do namysłu nad terminologią stosowaną w autoetnograficznych tekstach. Interesują mnie przede wszystkim opowieści tych, którzy reprezentują kategorię „zranionych opowiadaczy”, dotyczące na przykład trudnych relacji międzyludzkich, wydarzeń granicznych, sposobów „oswajania” strat i lęków, tworzenia wspólnoty („kolektywów myślowych”). Bardzo ważne jest spojrzenie na różne wydarzenia przez pryzmat historii autora opowieści, połączonej z historią innych osób, splot różnych doświadczeń, wrażliwości, refleksji i emocji. Niezwykle ciekawy, nie tylko w odniesieniu do autoetnografii, jest dla mnie proces poznawczy. Często wracam do książki Michała Rydlewskiego *Żeby widzieć, trzeba wiedzieć. Kulturowy wymiar percepcji wzrokowej* (wydała ją w 2016 roku bydgoska Oficyna Wydawnicza Epigram). Zastanawiam się,

jaką rolę w poznawaniu świata odgrywają poszczególne zmysły. Czy trzeba wiedzieć i co trzeba wiedzieć, żeby nie tylko widzieć, ale też słyszeć, smakować, czuć?

Czy myślała Pani kiedyś o innej dziedzinie nauki niż etnologia?

Wciąż bliska jest mi psychologia. Dużo czytam o problemach, które stały się plagą naszych czasów: lękach, depresji, trudnościach w relacjach międzyludzkich, samotności, różnych rodzajach przemocy, „dziedziczeniu traumy”, o nadwrażliwości i „kulturze upokarzania” (niezwykle wnikliwą analizę tego zjawiska przedstawił Michał Rydlewski w pracy zatytułowanej *Scenariusze kultury upokarzania. Studium z antropologii mediów*, opublikowanej w 2019 roku przez Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego). Zainteresowała mnie „medycyna narracyjna”. Przeczytałam o niej w książce profesora Aleksandra Woźnego *Scenariusze kultury w mediach i w medycynie narracyjnej* (opublikowało ją latem 2020 roku Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego). Za twórczynię „medycyny narracyjnej”, jak podaje profesor Woźny, uważana jest Rita Charon z Columbia University.

Współcześni lekarze, podporządkowani biurokratycznym wymogom, mają niewiele czasu na rozmowę z pacjentem, traktowanym jako klient, któremu świadczona jest określona, odpowiednio wyceniona, usługa. Przedstawiciele wspomnianego nurtu medycyny dowodzą, że relacja pacjent – lekarz nie musi być odhumanizowana, zdominowana przez procedury, wieczny niedoczas, przedmiotowe traktowanie chorego i jego bliskich, brak autentycznego zainteresowania przeżyciami pacjenta, chęci zrozumienia go, współczucia.

Wzorem lekarza (nie tylko psychologa, psychiatry) jest dla mnie od dawna profesor Antoni Kępiński, z jego autentyczną ciekawością człowieka, umiejętnością cierpliwego słuchania, prowadzenia szczerych, często bardzo długich rozmów, by dotrzeć do źródła problemów, życzliwością, trwaniem przy tych, którzy potrzebują pomocy. W pracy Kępińskiego z osobami dotkniętymi lękiem, melancholią, schizofrenią lub innymi chorobami, które dziś leczone są przede wszystkim farmakologicznie, można, moim zdaniem, znaleźć podstawy „medycyny narracyjnej”.

Aleksander Woźny przypomniał, że w humanistyce od dawna mamy do czynienia z rywalizacją między podejściem, dla którego ważne są „struktury, procesy, relacje między elementami, a żywych ludzi zastąpiły teksty” (s. 167), a takim, dla którego najważniejszy jest człowiek. Charakterystykę pierwszego z wspomnianych podejść można znaleźć między innymi w książce Katarzyny Majbrody pod znamienym tytułem: *W relacjach, sieciach, splotach asamblaży*, wydanej w 2019 roku przez wrocławską Oficynę Wydawniczą Atut (asamblaże to, najogólniej mówiąc, kolaże, zbiory, ich formy i sposoby gromadzenia).

Zdecydowanie bliższe jest mi podejście skierowane na człowieka funkcjonującego w określonej rzeczywistości, jego życie, doświadczenia i sposób mówienia o nich. Rozumiem konieczność poszukiwania różnych metod badawczych, pragnienie zmian obowiązujących paradygmatów, nie chciałabym jednak, by doprowadziły one

do usytuowania człowieka na marginesie badań etnograficznych/etnologicznych/antropologicznych. Nie chciałabym również, by z naszego słownika zniknęło słowo „kultura”. Takie propozycje, z odpowiednim uzasadnieniem, są formułowane przez niektórych badaczy (więcej na ten temat pisze we wspomnianej książce Majbroda). Jeśli w naszych badaniach zagubimy człowieka, wyeliminujemy z nich kulturę, pójdziemy drogą, o której wspomina (i przed którą przestrzega) między innymi profesor Woźny – czy będziemy mieli prawo nazywać się antropologami i przedstawicielami nauk humanistycznych?

Dziękujemy za rozmowę.

Ja również z serca dziękuję. Jestem Państwu wdzięczna za zaproszenie do rozmowy. Stała się ona dla mnie okazją do spotkania w momencie, w którym kończę pracę w Instytucie, do wspomnień i podróży w głąb własnej pamięci, ale też do pokonania bariery pojawiającej się, kiedy mam mówić o sobie.

*Rozmowę prowadzili:
Joanna Mroczkowska i Łukasz Smyrski*